

**TAXI,
TAXI!**

1

Albo o ludziach, taksówkach
i innych zwierzętach

Spis kursów

1. Czy to jest miłość, czy to jest...

publikacja: 6 września 2011 r., godz. 15:00

2. Jenerał

publikacja: 13 września 2011 r., godz. 15:00

3. I chodu! Panie, i chodu!

publikacja: 20 września 2011 r., godz. 15:00

4. Staruszka grozy

publikacja: 27 września 2011 r., godz. 15:00

5. Chwyty psychologiczne

publikacja: 4 października 2011 r., godz. 15:00

6. Zwierzątka

publikacja: 11 października 2011 r., godz. 15:00

7. Taka jest prawda

publikacja: 18 października 2011 r., godz. 15:00

8. Nie wydaj


publikacja: 25 października 2011 r., godz. 15:00

9. Nie lękajcie się!

publikacja: 8 listopada 2011 r., godz. 15:00

10. Polak potrafi

publikacja: 15 listopada 2011 r., godz. 15:00



11. Zamieszki jak ta lala

publikacja: 22 listopada 2011 r., godz. 15:00

12. Chłopi, a raczej chłopki

publikacja: 29 listopada 2011 r., godz. 15:00

13. To musi być miłość

publikacja: 6 grudnia 2011 r., godz. 15:00

14. Hitler wciąż nie kaput

publikacja: 13 grudnia 2011 r., godz. 15:00

15. Małżeństwo

publikacja: 20 grudnia 2011 r., godz. 15:00

16. Hrabina

publikacja: 27 grudnia 2011 r., godz. 15:00

17. Szwagier dom postawił

publikacja: 3 stycznia 2012 r., godz. 15:00

18. Do przodu też dochodzi


publikacja: 10 stycznia 2012 r., godz. 15:00

19. Czuj duch

publikacja: 17 stycznia 2012 r., godz. 15:00

20. Cisza na planie!

publikacja: 24 stycznia 2012 r., godz. 15:00



Zamiast wstępu

Wszystkie historie wydarzyły się mniej lub bardziej naprawdę. Poznaliśmy je od taksówkarzy. Zmienione zostały imiona, czasem lokalizacje, a niekiedy jakiś drobny detal mogący ułatwić identyfikację danej osoby.

Nigdy w taksówce nie korzystaliśmy z dyktafonu, ale zawsze natychmiast po kursie i interesującej, niesztampowej opowieści zapisywaliśmy ją jak najszybciej, by nie uronić choćby cienia jej oryginalnej wartości.

Żaden z kierowców nie wiedział, że wiezie ludzi notujących opowiadane historie. Najstarszy dialog, ten pochodzący z opowiadania „I chodu! Panie, i chodu!”, jak najbardziej miał miejsce, ale wtedy nawet nie myśleliśmy o takiej książce.

Zupełnie mimochodem pragniemy zaznaczyć, że poglądy i opinie wygłaszane przez bohaterów poszczególnych opowiadań niekoniecznie pokrywają się z poglądami autorów niniejszego zbioru.

Etos zawodu taksówkarza miał wielu swoich kronikarzy i w literaturze, i w filmie. Wierzymy jednak, że spisane przez nas historie wniosą coś unikatowego, niepospolitego. Być może czasem będzie to jakiś szczegół, zwrot, spostrzeżenie, a czasem szerszy pisarski kadr bądź myśl natury ogólnej.

Być też może bystry czytelnik dostrzeże w „Taxi, taxi!” reporterski obraz jakiejś części Polski i Polaków.

Okazuje się, że nadal nikt tak jak taryfiarze nie zna życia. Oni znają je po prostu od podszewki. I nic, co ludzkie, nie jest im straszne, a już na pewno obce.

Przyjemnej lektury

Dawid Brykalski , Magdalena Zaleska

Brykalski & Zaleska

**TAXI,
TAXI!**

Odcinek 1 Czy to jest miłość, czy to jest...

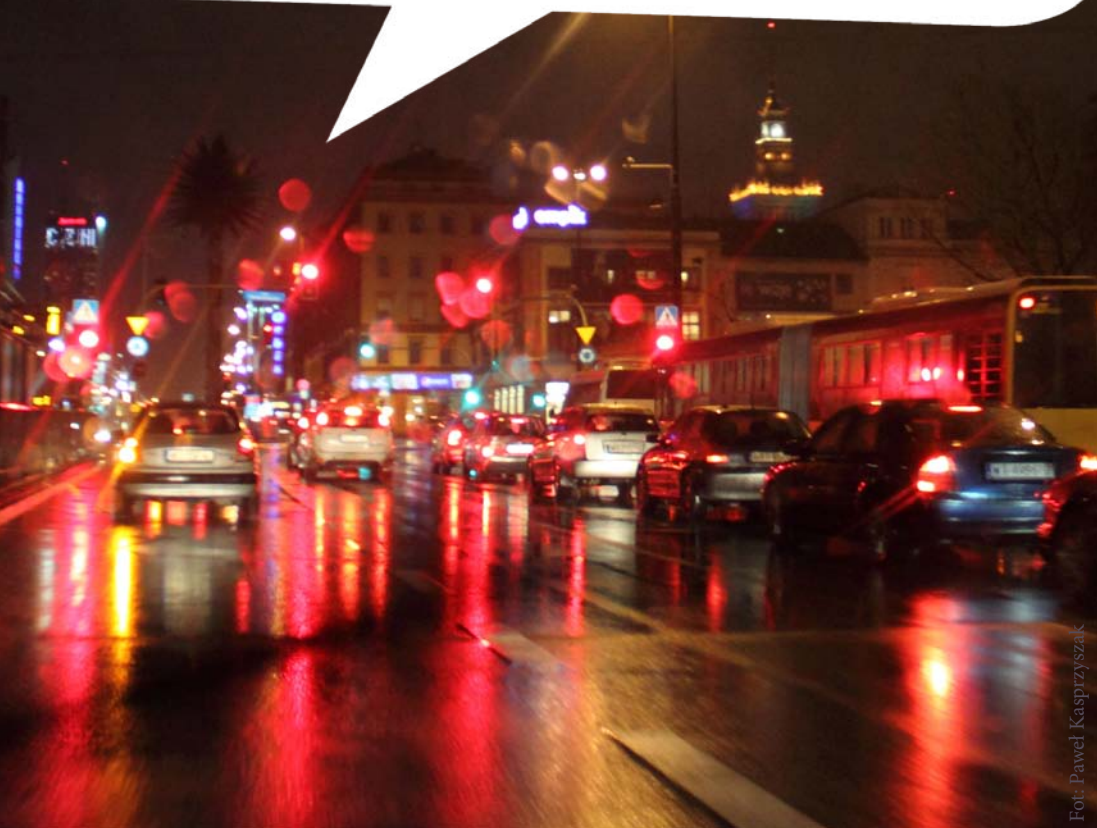
Tom 1 Albo o ludziach, taksówkach i innych zwierzętach

Data: luty 2011 roku. Między godziną 22.30 a 23.00.
Zimno wszędzie, głucho wszędzie.

Miejscowość: Warszawa, Gocław, okolice Fieldorfa.

Kierowca: Sądząc z wyglądu, miał jakieś 50-60 lat.
Z racji papierosowego nałogu w rzeczywistości mógł mieć nieco mniej.
Gładko ogolony, siwiejący, szczupły i niewysoki. Ubrany w czarną
skórzaną kurtkę i dżinsowe spodnie. Bardzo gadatliwy.

Samochód: Ciemnozielony, marka nierozpoznawalna z powodu
śniegowej czapy na masce. Należący do dobrej i taniej warszawskiej
korporacji, której dyspozytorki niezależnie od pory i miejsca składania
zamówienia wiedzą, że „taksówka będzie za 13 minut”. Zawsze.



Wracalam z sympatycznej knajpki na Goclawiu, w ktorej spedzilam wieczor z pewna znajoma.

Po spotkaniu ruszylam dziarskim krokiem na przystanek autobusowy, ale przenikliwie zimno szybko kazalo mi nieco zboczyć z kursu i udać się na postój taksówek. Stało na nim pięć samochodów, wybrałam trzeci, należący do dobrze mi znanej korporacji, słynącej z konkurencyjnych cen i punktualności. Z ulgą wsiadłam do ciepłego wnętrza taksówki.

- Uratowała mi pani życie! – ucieszył się kierowca, odpalając silnik.
- Stoję tu już od trzech godzin, myślałem, że normalnie zamarznię!

- Też się cieszę, że pana widzę – uśmiechnęłam się, zamykając drzwi.
- Poproszę na Ursynów, na ulicę Wiolinową.

- Już się robi – odparł taksówkarz, ruszając ostrożnie po śliskiej nawierzchni. – Ja to już chyba panią wiozłem, co nie?

- Tak? No wie pan... być może... W sumie aż tak często się taksówkami nie rozbijam...

- A pani tam mieszka, na tym Ursynowie? – dopytywał zaciekawiony.

- Owszem.

- To ja na pewno panią kiedyś wiozłem – stwierdził autorytatywnie.

- Bo wie pani, ja to mam pamięć do pasażerów. Na ten przykład wiozłem kiedyś Omara Scharifa, pani wie, tego aktora.

- O, to ciekawe. A co on robił w Warszawie?

- zainteresowałam się.

- Pewnie go jacyś zaprosili, ale w sumie to nie wiem. Wiozłem go parę razy z hotelu do kasyna i z kasyna do hotelu... Bo wie pani

- on to niestety nałogowy hazardzista. Cały majątek ponoć przepuścił...

- taksówkarz zatrzymał się na światłach i chuchnął w zgrabiąle dłonie.
– Co za zimnica, niech to cholera weźmie...
Wiosna już by przyjść mogła...

- Oj mogłaby... - westchnęłam.

- Bo widzi pani, jak to jest. Jak człowiek młody, to mu zimno nie doskwiera. Na ten przykład, jak w wojsku byłem, to mi nigdy tak zimno nie dokuczało! A przecież nieraz się na warcie stało albo na poligonie ćwiczyło...

- No wie pan, jak się człowiek rusza, to od razu lepiej, prawda?

- No właśnie. Nieraz mnie kaprale, cholerne psubraty, w tę i nazad przegonili... I co? I zero przeziębień, mówię pani. Takie miał człowiek zdrowie. A teraz co? Kręgosłup od siedzenia cały czas boli, a zimną z zimna wytrzymać się nie da...

Oboje zamilkliśmy. Gdy samochód przejeżdżał przez Most Siekierkowski, kierowca włączył radio. W głośnikach odezwał się dżingiel lokalnej stacji.

- Dzwonimy teraz do Jadwigi, halo halo Jadwigo, czy mnie słyszysz?!
– zagał radośnie spiker.

- Tak, słyszę, słyszę dobrze – skrzeknęła w odpowiedzi Jadwiga.

- Nie uwierzysz Jadwigo, ale mamy dla ciebie niespodziankę!
Ktoś zamówił dla ciebie piosenkę!!! Wielki przebój
Seweryna Krajewskiego!!! Czy zgadniesz, kto to zrobił??
Dla ułatwienia dodam, że jest to osoba, która bardzo dużo o tobie
myśli!!! – głos dziennikarza aż drżał z podekscytowania.

- Ojej – Jadwiga najwyraźniej nie spodziewała się takich atrakcji.
– Mój mąż?

- Ale emocje!!! Taaak!!! Gratulacje Jadwigo, zgadłaś!!!

Masz wspaniałego męża, którego możesz teraz pozdrowić na naszej antenie!!! – spiker najwyraźniej był bliski ekstazy.

- Pozdrawiam mojego męża! – pisnęła radośnie szczęśliwa Jadwiga.

- A teraz, specjalnie dla ciebie, przepiękna piosenka

Seweryna Krajewskiego! Pozdrawiamy cię serdecznie!!!

– erupcja dziennikarskiej ekspresji dobiegła końca i z głośników dała się słyszeć łagodna melodia, a z nią słowa:

*Czekasz na tę jedną chwilę,
serce jak szalone bije,
zrozumiałem, po co żyję,
wiem, że czujesz to co ja.*

*Ej, za krótko trwa godzina,
niech się chwila ta zatrzyma,
moim szczęściem chcę nakarmić
calutki świat, zdziwiony tak.*

*Wielka miłość nie wybiera,
czy jej chcemy nie pyta nas wcale,
wielka miłość, wielka siła
zostajemy jej wierni na zawsze...*

Zdażyłam pograżyć się we własnych myślach, gdy nagle kierowca przyciszył radio i zapatrzył się jakoś tak nostalgicznie w dal, przez przednią szybę. Czułam, że chce coś powiedzieć, więc nadstawiłam ucha.

Nie pomyliłam się.

- Wielka miłość... Tiaaa... A mnie to nie ma kto piosenek w radiu zamawiać... - westchnął z nieskrywaną goryczą taksówkarz.

– Bo ja już nie mam wielkiej miłości...

Milczałam, czekając na ciąg dalszy.

- Ale, wie pani, ja kiedyś taką wielką miłość przeżyłem...
I ona mnie zdradziła!

- Bardzo mi przykro – rzekłam uprzejmie. – Ale wie pan,
tak sobie myślę, choć oczywiście mogę się mylić...
Ja nigdy takiej wielkiej miłości nie przeżyłam i czasami myślę, że...
Że chyba lepiej coś takiego przeżyć i potem cierpieć, niż nie przeżyć
tego w ogóle...

- O nie, proszę panią – rzekł z mocą kierowca. – Najgorszemu
wrogowi bym tego nie życzył... To była totalna masakra!
Zdradziła mnie... ale to się na niej zemściło!

Zjechaliśmy z Trasy Siekierkowskiej i zatrzymaliśmy się na światłach.
Zaczął sypać śnieg.

- Powiem pani, jak to było. Nosilem ją na rękach, proszę panią.
Nieba jej przychylałem, obiadki i kanapeczki robiłem...
Ja nawet, kurde, nie wiedziałem, że potrafię gotować!
Wszystko przy niej robiłem, sprzątałem, opiekowałem się nią,
jak chora była... Dzieciaka jej do szkoły odprowadzałem,
przy lekcjach mu pomagałem... No normalnie, mówię pani
– wpadłem jak śliwka w kompot!

- A kiedy to było? – spytałam zaintrygowana, sądząc,
iż kierowca wyjawia mi historię sprzed co najmniej dziesięciu lat.

- Jakieś dwa lata temu... No i wie pani, kiedyś... – taksówkarz zerknął
na mnie badawczo, a potem machnął ręką. – A co tam,
powiem pani! W końcu oboje dorośli ludzie jesteśmy...
Bo wie pani, ja to się owszem lubię kochać, nie powiem, że nie...
Ale ona chciała tak, no wie pani, inaczej...

Powiedzmy sobie wprost – od dupy strony, za przeproszeniem...
Ja wiem, że ludzie tak robią! Robili, robią i będą robić,
w końcu wszystko jest dla ludzi... Mnie tam do tego nie ciągnie, wie
pani... Ja to czysty chłopak jestem, a przy tym to przecież
jakąś bakterię można złapać!

Kierowca wyminął zrećźnie autobus skręcający na przystanek
przy Dolince Służewieckiej.

- No i wie pani, kiedyś pojechałem do jej matki i pytam:
„Marynia jest?”. A jej matka mi na to, że Marynia do szpitala
pojechała, bo krwią zaczęła siusiać... Przeraziłem się i w te pędy
na Szaserów pognałem, znalazłem salę, w której leżała... No i wie pani,
tak se usiadłem przy niej, za rękę wziąłem i patrzę, a tam na tym
szpitalnym łóżku taka kartka wisi... Wie pani, taka kartka, co to na
niej chorobę wpisują...

- Karta choroby? – odpowiedziałam.

- O właśnie, karta choroby! No i tak se siedzę i patrzę na tą kartę,
co tam na niej pisze... A na niej pisało tak:
„Przyczyna choroby: stosunek waginalno-doodbytniczy”.
Przeczytałem to, potem przeczytałem jeszcze raz... No i myślę sobie:
„Mieciu!” – bo ja to Mietek mam na imię. – „Przecież ty nie robisz
takich rzeczy! No – rzekłem sobie – nie robię... A skoro ty tego
nie zrobiłeś, to ktoś inny musiał!”...

- No, samo się nie zrobiło – zauważyłam przytomnie.

- No właśnie! No i sama pani widzi – los ją pokarał,
wrażeń jej się zachciało... Ja już coś wcześniej podejrzewałem,
wie pani, bo od jakiegoś czasu, jak wracała do domu, to do mnie
ani be, ani me, tylko od razu przed komputer siadała i na tych
internetach buszowała! I tak całymi wieczorami!

- Wie pan, bardzo mi przykro, że pana taka dramatyczna historia spotkała... - rzekłam ze szczerym współczuciem.

- Dziękuję... Ale widzi pani, mówiłem – zdrada się na niej zemściła... Bo, przyznam się pani szczerze. Ja to lubię seks, czułość, przytulić się i w ogóle... Za ręce się potrzywać, do kina czy do parku na spacer pójść... Lubię się kochać, ale tak po bożemu, normalnie, a nie takie, za przeproszeniem, jebanie!

Brykalski & Zaleska

**TAXI,
TAXI!**

Odcinek 2 Jenerał

Tom 1 Albo o ludziach, taksówkach i innych zwierzętach

Data: lato roku 2007, wieczór dość późnawy.

Miejscowość: Rzeszów.

Kierowca: Zadbany i zdyscyplinowany. Młody, czyli nie stary. Pewny siebie w ruchach, w mowie oraz auta prowadzeniu. Twarz okrągła, wręcz pucułowata. Biła z niej pewna naiwność, ale w oczach, miałem wrażenie, czaiło się niebezpiecznie zdyscyplinowane szaleństwo.

Samochód: Volvo V40, oczywiście kombi. Kolor fatalny, powiedzmy wprost – sraczkowaty. Poza tym auto dobrze utrzymane, pozabawione zbędnych ozdobnych dupereli. Iście żołnierski ład i porządek. Zauważyłem tylko kilka książek i czasopism.



Wracaliśmy wtedy z jednej z knajp. My dwaj, ja i mój współpracownik Robert, byliśmy w delegacji. Kolega Marcin dołączył do nas, ponieważ od zawsze żył, mieszkał i pracował w Rzeszowie. Zналиśmy się z firmy, pracował dla naszego rzeszowskiego oddziału. Impreza była udana, męska, suta, zakrapiana. Zrobiliśmy z siebie umiarkowanych idiotów. Z innych kpiliśmy i szydziliśmy chętnie.

Do postoju zbliżaliśmy się jednak krokiem pewnym i prostym, choć daleko mu było do defiladowego.

- Marcin! No nie wierzę! To ty?! – na nasz widok jeden z kierowców wyskoczył z wozu i, stanąwszy w postawie zasadniczej, zaczął się witać.

- To ja! Cześć brachu, a co ty teraz na taryfie jeździsz?

- Ano jeżdżę! Cześć, jestem Radek, miło was poznać, jesteście kolegami Marcina? Wsiadajcie. Dokąd was zawieźć?

Wsiedliśmy. Chcąc usiąść z przodu, obok kierowcy, musiałem chwilę zaczekać, aż uprzątnie gazety i jakieś książki. Tradycyjnie i z uwagą, bo jak zwykle nie mogłem się powstrzymać, przyjrzałem się, co też kolega taksówkarz czytuje w pracy. „Skrzydłata Polska”, „Komandos”, „Żołnierz Polski”. „Wojna Iwana” dzieło Catherinne Merridale, „Sztuka Wojny” Sun Tzu, „O wojnie” Carla von Clausewitza oraz... kilka najprawdziwszych, stareńkich „Tygrysków”! I to te antykwaryczne rarytasy, pierwsze stare wydania, łatwo rozpoznawalne po większym niż późniejszy formacie.

- A nie skasujesz nas zbyt drogo?

- Kolego! Ja was za darmo zawiozę. Słowo honoru! Tylko powiedz, dokąd jedziemy? Od starych towarzyszy nie biorę pieniędzy. Za nic!

- Tak? No to dzięki – powiedział Marcin. I zaraz dodał - A konto na naszej klasie dłaczego skasowałeś?

- A wiesz Marcin, jakoś mnie to przestało interesować... Mało bojowo tam jest...

- Aha – wtrącił się Robert. – To do hotelu, tego no tam...

- Praktycznie to ja już wiem, jedziemy...

Pojechaliśmy.

- Pamiętacie może to oblężenie antyterrorystów, jakie urządzili dwóm zbirom w Magdalence? – spytał ni stąd ni zowąd kierowca.

- Oczywiście, zginęli wtedy policjanci, ale i tych dwóch drani też zatłukli.

- Tak jest. Ale policja wtedy popełniła karygodne błędy. Strategiczne!

- Na przykład jakie? – wtrącił Marcin. – Przecież nikt się nie spodziewał, że cały dom będzie zaminowany...

- Tak jest! Na tym polegał ich błąd. Należało założyć na dom obserwację od dwóch tygodni, następnie wysłać tam kogoś na przespiegi ze dwa dni wcześniej. Potem zrobić nie szturm, tylko rozpoznanie bojem i wreszcie obu bandytów powinni wystrzelać rozstawieni na drzewach zamaskowani snajperzy.

- No tak, o tym nikt nie pomyślał... - powiedziałem, a przez głowę przemknęła mi myśl, że gdzieś słyszałem, że szpitale psychiatryczne są pełne Napoleonów. Zapowiadał się wesoły kurs.

- Mimo to, bitwa była do wygrania. Ale gdybym był na miejscu tych bandytów, to też bym sobie poradził z komandosami. Tylko lepiej.

- Tak, a w jaki sposób? – spytał Robert.

- Po prostu wykonałbym skuteczny manewr okrążający. Dodatkowo przy drzwiach ustawił automatyczne automaty strzelające do każdego, kto podejdzie. I najważniejsze, zamiast tych starych typów granatów, użyłbym nowoczesnych o zwiększonej sile i promieniu rażenia. Na koniec, po rozstawieniu zasłony dymnej, uciekłbym do wcześniej przygotowanych okopów i stamtąd prowadził ostrzał pozycyjny, aż do wyczerpania sił wroga.

- No to ciekawe. Zupełnie o tym nie pomyślałem... - a w głowie miałem już tylko jedno. Wariat. Szwejk, który myśli, że wojakiem nie jest.

- No, ale co tam. Służba nie druźba. Gorzej na wojnach bywało. Teraz tak mi się przypomina, że wojna w Iraku to też była jedna wielka porażka taktyczna.

- Ale która? Pierwsza w 1990 roku? – sam byłem zdumiony, że mimo wypitych drinków pamiętam takie szczegóły. – Czy druga, ta z 2003?

- No, a może myślisz raczej o wojnie między Iranem a Irakiem... Nie pamiętam dokładnie dat, ale trwała kilka albo i kilkanaście lat, prawda? – dopytał Marcin.

- Oczywiście, że mam na myśli tę pierwszą. „Pustynną Burzę”. Ona była ważniejsza. Potem to już było raczej sprzątanie, też spartolone... Irak i Iran praktycznie prowadzili przez bite osiem lat wojnę pozycyjną, a wcześniej była jeszcze w 1941 wojna iracko – brytyjska, jeśli chcecie wiedzieć.

- No dobra, to co było nie tak z Bushem, marines i „Pustynną Burzą”?

- Wszystko zaczęło się od najazdu wojsk Saddama, bo go jeszcze wtedy nie powiesili, na Kuwejt. Kuwejt się nie bił, bo jest za bogaty i zbyt wiele mógł stracić. Stany jednak już dawno miały swoich najlepszych szpiegów w Bagdadzie i uznały, że Husajn przegiął. Ewidentnie.

Stany złopią arabską ropę jak Bawarczycy piwo, więc przygotowały operację, która, gdyby nie szczęście, mogłaby się zakończyć totalną klęską koalicji. Wystarczyłoby bowiem, żeby Husajn wystawił na nabrzeżu ze trzy lotniskowce i kilka atomowych łodzi podwodnych i one by to wszystko, co tam przyplęnęło, zatopiły.

- Ale przecież Irak chyba do tej pory nie ma lotniskowców i atomowych łodzi podwodnych!?! - zaperzył się Robert.

- A skąd to wiesz? – szybko odparł atak taksówkarz.

- Bo w wiadomościach nie mówili? He? Żołnierzu – dziwnie zmienił ton. – Ty masz tyle doświadczenia, by na razie prawidłowo trzymać karabin. Ja ciebie szkolić będę! Może Saddam miał, a może nie. Jakby miał, to mógł tak zrobić i wygrać. Ale on jest, a raczej był, skąpy, więc pewnie wolał zostawić siły strategiczne na inne czasy. Na poważniejszą, tę drugą wojnę. Więc nie dajcie się zwieść nieprawdziwej propagandzie wrogich wiadomości! Irak przegrał na własne życzenie, bo gdyby postąpił jak mówię, to by zatopił amerykańską flotę, ponieważ oni się niczego nie spodziewali. I poszliby na dno dna Zatoki Perskiej.

- Dobrze, że jednak Amerykanie wygrali...

- W sumie tak. Ale jeśli chodzi o zastosowanie strategii, to mogli wygrać znacznie szybciej.

Na przykład użyć zagonów pancernych jadących w dwóch kolumnach, a nie w szeregu po pustyni.

No i jeszcze powinni na miasta od razu zrzucić dywizje spadochronowe, by siały postrach wśród cywili. Otworzyliby wtedy miasta dla wojsk pancernych i piechoty... No i jeszcze kwestie pocisków artyleryjskich oraz lotnictwa i śmigłowców. Lepiej nie gadać. Amerykanie zawsze kombinowali, jakby chcieli, ale jednak nie mogli. Żadni tam z nich dowódcy. Każdy chce rozkazywać.

No i mają pozamiatane.

- Mimo wszystko operację przeprowadzili szybko i sprawnie, a dyktator dostał nauczkę...

- Zobaczcie jaka reklama! He he he! Ja nie mogę! He he he! – zaśmiał się nagle Marcin.

Zatrzymaliśmy się akurat na światłach i z lewej strony było torowisko tramwajów. Na siatce oddzielającej tory wisiały reklamy. Jedna z nich dumnie obwieszczała: „Hydrocolonoterapia: oczyszczanie jelita grubego ze złożeń, toksyn i pasożytów, likwidacja zaparć, zapobieganie patologii jelit” i tak dalej. Jednak najlepsze było to, że zakład mieścił się, jak ktoś przebiegle dodał wytłuszczoną czcionką, z tyłu budynku.

Z tego, zapewne niezamierzonego komizmu, zaśmialiśmy się wszyscy, z wyjątkiem kierowcy.

- Trudno o lepszą lokalizację dla takiej firmy! – dodał Robert i znów samochód zatrzęsł się od naszego śmiechu.

- A czy wiecie, jaki to może być problem? Na przykład podczas forsownego marszu żołnierz, gdyby dostał ataku biegunki? Taki polowy zakład to byłoby dla niego zbawienie! Wojskowe, surowe życie nie dawało takich usług, a kłopoty odbytnicze szczególnie plagą szerzyły się w szeregach armii chrześcijańskiej podczas wszystkich siedmiu wypraw krzyżowych. Co to były za cierpienia w tych zbrojach! Przecież jak cały oddział dostanie takich problemów, to może zaważyć na powodzeniu kampanii, a czasem nawet i wojny – jechaliśmy już dalej, a on nadal o tej nieszczęsnej reklamie.

- Radek, to przecież tylko reklama – starał się uspokoić kolegę Marcin.

- Nieprawda. Na wojnie wszystko jest ważne. Każdy detal!
– głos kierowcy przybrał bardzo wojownicze akcenty. – Jak wam się wydaje, dzięki czemu wygrano II wojnę światową? No! Myślcie szybko, przypomnijcie sobie wszystkie lekcje historii! I tak nie zgadnicie.

A prawda jest taka, że II wojnę światową wygrały ŻYROSKOPY!

- A co to ma wspólnego z kolonoskopią? I czy na pewno te żyroskopy miały jakieś zastosowanie na wszystkich frontach? Bo bomby zrzucone na Nagasaki i Hiroshimę to nie były żyroskopowe tylko raczej atomowe.

- Ależ mnie nieuważnie słuchałeś! Ja mówiłem już raz i więcej nie będę powtarzać, że liczą się szczegóły. Nawet takie, jak gwint w lufie karabinu czy rozpiętość skrzydeł myśliwca. To może przeważać szale w danej potyczce, starciu czy całokształcie działań w danym teatrze wojennym! Nasza husaria zawsze szarżowała z górki, by mieć większą prędkość, i co?! Nikt ich nie zatrzymał. Żyroskopy na masową skalę zastosowali Rosjanie, montując je w swoich genialnych, prostych i tanich czołgach T-34. To był przełom. 1941 rok. Niemcy jeszcze zwyciężali, ale nie przewidzieli, że radziecka myśl techniczna wyprzedzi swoje czasy. Zamontowanie żyroskopów w układach celowniczych tych czołgów umożliwiło celne strzelanie w trakcie jazdy. To były pierwsze tak nowoczesne czołgi na świecie, a używano je aż do 1996 roku! I potrzeba było tylko wyszkolić radzieckich chłopów, przesadzić ich z traktorów na czołgi i mamy w 1943 roku największą bitwę pancerną świata. Bitwę pod Kurskiem. I właściwie tam skończyła się II wojna światowa. Wszystko dzięki żyroskopom.

- To był taki czołg, jakim jeździli „Czterej pancerni”? – zakpił Robert.

- Nie. Pancerni w serialu jeździli już na nowszym modelu, powojennym, produkowanym w Polsce. Jak to zwykle w filmach...

- No a co z tymi bombami? Przecież T-34 nie wygrały w Japonii.

- Ty Marcin lepiej się nie popisuj! Spoczniej! Amerykańskie bomby to była tylko akcja reklamowa. Stany chciały udowodnić ZSRR, że choć nie mają tak dobrych żyroskopów, to mają niezłe bomby. A te i tak zbudowali im Żydzi odbici z niemieckich tajnych ośrodków naukowych.

Dobrze, że już byliśmy blisko hotelu, bo nie wiem, czy dałbym radę dłużej słuchać tych wszystkich quasi-militarnych bzdur.

Kierowca Radek miał chyba hełm zamiast mózgu i wyraźnie urodził się w złych czasach. Dawniej już na pewno zostałby jakimś co najmniej generałem. Z dumą dowodziłby tłumem podobnych sobie trepów.

- A wy to w ogóle w wojsku byliście? – spytał taksówkarz.

- Ja byłem, dwa lata służyłem w piechocie, przydzielili mnie do zaopatrzenia – rzekł Robert.

- Ja nie byłem, ale żałuję. Bo to przecież wojsko czyni z chłopca prawdziwego mężczyznę – postawiłem na otwartą ironię, ale sądząc po spojrzeniu, jakim obdarzył mnie kierowca, wyraźnie u niego zaplusowałem.

Marcin milczał. Też nie był w wojsku i na pewno się nie wybierał. Na żadną wojnę również.

- Aha, to dobrze – podsumował Radek. – Bo wiecie, te całe wojny punickie to naprawdę można było inaczej wygrać.

Lepiej, skuteczniej. Tak na sposób strategiczny. Rzymianie jednak wynieśli z nich wiele nauki i potem wojowanie szło im lepiej.

Jednak to obleganie Messyny, to nieudolne szarpanie Hannibala i później ta cała walka o Kartaginę, to jeden wielki popis nieudolności wojskowej i taktycznej. Należało bowiem wykorzystać flotę i szybkimi desantami osaczyć wroga.

Z kolei Hannibal powinien wziąć pod uwagę, że jego siły nie mogą iść w takiej rozciągniętej kolumnie i lepiej byłoby, gdyby zaczekał na ruch Rzymian, a później ich po prostu okrążył i WDEPTAŁ W ZIEMIĘ!!

Duch bojowy udzielił się już nadmiernie kierowcy. Na szczęście dojechaliśmy do hotelu.

- No. Dotarliśmy. Kolejny rajd bojowy zaliczony, co? He he he!
I skoro ty byłeś w wojsku – zwrócił się do Roberta - to mi będziesz o logistykę na zapleczu i dobre posiłki dbał, bo wiesz – podał mu rękę.

- Rozkaz! – odparł Robert. To wyraźnie spodobało się taksówkarzowi.

- Ty – zwrócił się do mnie – będziesz mi granaty i amunicję bezpośrednio do okopu donosił!

- A ja? – spytał żegnając się z kolegą Marcin.

- Ty?! Ty to mi możesz laskę teraz zrobić! Ha ha ha!

Marcin jakoś przelknął ten żołnierski dowcip. Uśmiechnął się tylko wyraźnie lekceważąco i wysiadł razem z nami.

Już w hotelu Robert spytał:

- Wielki człowiek, co? Wybitny dowódca, bez dwóch zdań.
Znacie się jeszcze ze szkoły?

- W sumie... Tak...

- Ale co on kończył? Chyba ze trzy wojskowe akademie? – dopytałem.

- Nie. On nie skończył nawet technikum. I o jego studiach też nic nie wiem. Dlatego pytałem się o tę naszą klasę.

- To co on ma, oprócz zainteresowań, wspólnego z wojskiem?

- Nic.

- Dużo o wojnach czyta. I pewnie po domu maszeruje...
Przyszło mi jeszcze coś do głowy.

- A co robił, zanim zaczął jeździć na taksówce?

- Przez kilka lat pracował w zoo.
- Jak to?
- No normalnie. Obsługiwał parzystokopytne.

Brykalski & Zaleska

**TAXI,
TAXI!**

Odcinek 3 I chodu! Panie, i chodu!

Tom 1 Albo o ludziach, taksówkach i innych zwierzętach

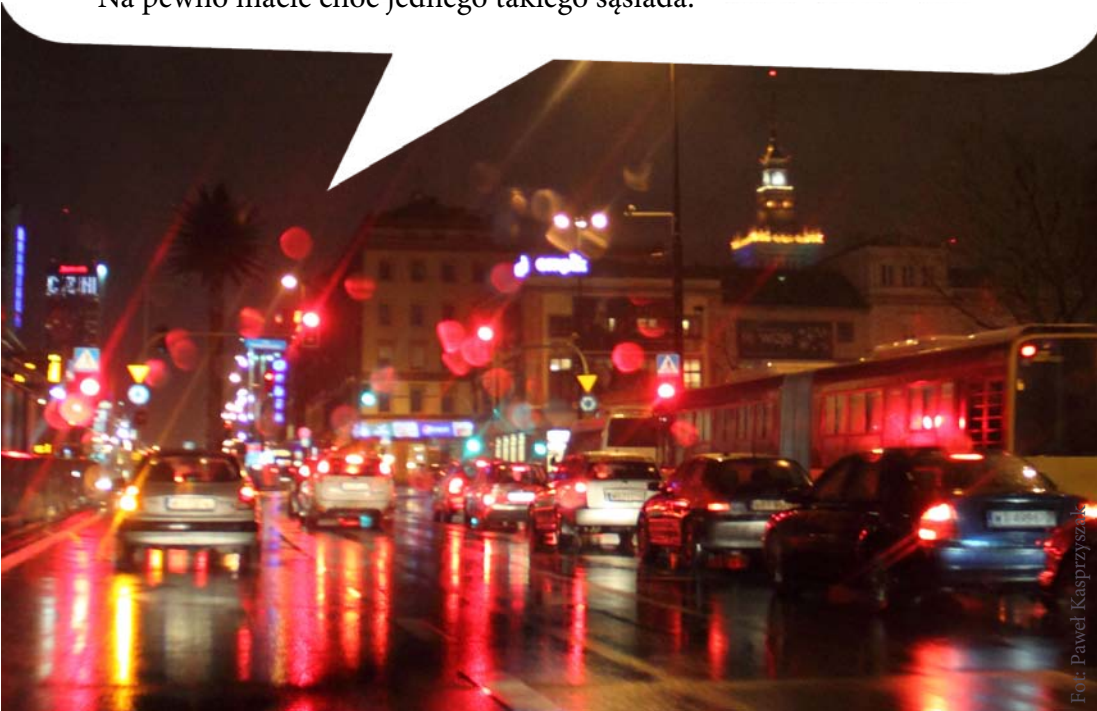
Data: To było tak dawno temu, że już sam nie pamiętam kiedy.

Miejscowość: Kraków. Wydaje mi się, że byłem tam w sprawie jakiegoś wywiadu i koncertu. Nie mam jednak żadnej pewności.

Kierowca: Taki... zwykły. Najzwyklejszy ze zwykłych. Tak przerażająco zwykły, że nawet nie wiem, jak go opisać. Wyobraźcie sobie przeciętnego kierowcę taksówki. Króla codziennej zwyczajności. To właśnie mój dzisiejszy bohater.

Samochód: Na pewno miał ponad 10 lat. Sprowadzony od pierwszego właściciela z Niemiec.

Na pewno był dorobkiem życia tego pana. Na pewno był z niego dumny, choć czasem go przeklinał, bo za dużo palił, a benzyna droga. Na pewno, kiedy żona w weekend nie dawała mu spokoju, taksówkarz schodził na dół, przed blok, i całe przedpołudnie spędzał grzebiąc pod maską, żaląc się na to swoje pieskie życie. Na pewno macie choć jednego takiego sąsiada.



Jechałem w wybornym humorze. Sprawa, którą miałem załatwić, poszła mi o wiele lepiej, niż mogłem się spodziewać.

Słońce świeciło, ale nie było zbyt upalnie. A Kraków jak zwykle tętnił energią i życiem. Przynajmniej taką scenę mam w głowie, kiedy myślę o tamtym dniu i historii.

- Coś się chyba panu powiodło, z daleko widziałem...

- Pewnie. Lepiej być nie może!

- To dobrze, jak dobrze człowiekowi dobrze idzie. Od razu na świat innymi oczami patrzy...

- Żeby pan wiedział...

- A czym się pan szanowny zajmuje, jeśli to nie tajemnica?

- Jeżdżę sobie taksówkami i spisuję opowieści taksówkarzy. Bestseller z tego będzie! – wypaliłem nie zastanowiwszy się zbyt długo. I zaśmiałem się tak szczerze, że kierowca zrozumiał, że żartuję.

- Serio? – uśmiechnął się.

- Serio, serio – śmiałem się dalej.

- To ja mam dla pana jedną, ale proszę mi obiecać, że będzie w książce – wyszczerzył się, bo chyba mu się mój humor udzielił albo zabawa spodobała.

- Obiecuję! Daję słowo! I jeszcze pana znajdę i dam egzemplarz.

- W porządku. Pan słucha. To było w latach osiemdziesiątych. Sam pan wie, choć młodo pan wygląda, ciężko było, a nawet jeszcze ciężiej niż teraz. Ja już wtedy na taksówce jeździłem.

Miałem Fiata. Dużego.

Ale z samej taksówki nie szło wyżyć, a jeszcze drugi syn mi się urodził. No to z kolegami raz w miesiącu się umawialiśmy i w pięciu jednym autem na zmianę na Węgry jeździliśmy.

- Na handel?

- Tak jest. Na handel. Braliśmy parasole, okulary, lizaki, kasety, wódki, czekolady z Pewexu i inny towar. Jechaliśmy do Budapesztu pod stadion, tam wszystko opierdalaliśmy, że się tak wyrażę. Bo tam niby lepiej niż u nas było, ale też ludzie brali wszystko. Potem kupowaliśmy węgierskie kiełbasy, jakieś futra, co tam akurat w Polsce szło, i jechaliśmy z powrotem. Żeby zaoszczędzić, nawet hotelu nie braliśmy, jeden prowadził, a reszta spała. Czasem się wódki trochę popiło.

- Opłacało się?

- Pewnie. Człowiek z jednego wyjazdu miał tyle, co przez trzy miesiące jeżdżenia na taryfie. Szło rodzinę jakoś utrzymać. Żona moja Helena, żeby pan wiedział i dobrze zapisał, dopiero jak ten zaszpany kapitalizm nastał, do pierwszej pracy pójść musiała...

Mniejsza jednak z tym. Któryś wyjazdu zabrał się z nami gruby Tadek. Nabrał towaru i dobrze mu handel poszedł. Nakupował też dobrze i przed odjazdem mówi: „dobry biznes trzeba uczcić, ja stawiam! Kto pierwszy jedzie, ten tylko kolejeczkę, ale reszta kolegów jak trzeba się ze mną napije”. No tośmy jak trzeba popili.

A spirytus popiliśmy, żeby szybciej w głowach zaszumiało.

I tak Tadekowi zaszumiało, tyle skubany wypił. Że umarł. Jak stał, tak pierdolnął na glebę, zrobił trochę niebieski, pocharczał i już nie żył! Najpierw tośmy się śmiali, że się zgrywa, że taki z niego aktor, psia mać, zakichany. Aleśmy się pokapowali, że on jest nieboszczyk!

- Dobrze! I co dalej, co panowie zrobiliście? Polska zaradność pewnie...

- A żeby pan, panie szanowny, wiedział. Ile to kłopotów jest, by ciało z zagranicy przywieźć.

A my wszyscy chcemy szybko do domu, towar trzeba sprzedać, na życie zarobić. A tu martwy kolega, taki nam numer na tych Węgrzech wyciął... To żeśmy się szybko naradzili. Ten co prowadził, paszport kolegi wziął. Dwóch z tyłu go wzięła między siebie i tak jechaliśmy z trupem od Budapesztu do samiutkiego Krakowa. Na granicach paszport celnikowi dawaliśmy, w paszporcie banknocik, oczko się puściło: „wie pan, panie celniku, koledze się czwarte dziecko urodziło i zapił biedak do nieprzytomności”. A ci z tyłu, co go mieli między sobą, przed granicą go alkoholem kropili, ale i tak już w Polsce śmierdzieć zaczął. Celniki, psie syny, puszczały, a my jechaliśmy dalej. Dopiero przed jego blokiem strach nas wziął. Co mamy zrobić? Co powiemy żonie? A dzieciom? Jeszcze pomyślą, że to my go otruliśmy...

- Kurde, panie kochany, co za historia! I co zrobiliście?

- A widzisz pan! Co zrobiliśmy? Nic nie zrobiliśmy! Taki nas paraliż dotknął! Jeszcze jak dziś o tym myślę, to mnie ciarki po całym ciele przechodzą... Zawinęliśmy go w jakiś skafander, co się były w lecie gorzej sprzedawały, każdy dołożył się po parę złotych, żeby tam wdowie lżej było na początku...

Ciało wzięliśmy, zatargaliśmy na klatkę. Pod drzwiami położyliśmy i w długą. Ostatni tylko dzwonek nacisnął.

A my w tym czasie chodu, panie po tych schodach, jak szaleni, albo jakby nas trup gonił. I chodu! Panie, i chodu!!